

Było zimno, więc owinęłam się szalem. Do torby spakowałam całą matczyną miłość i tęsknotę, i poszłam utulić swój żal, zmiatając liście z łóżeczka, z którego moje dziecko nigdy nie wyrośnie. Chciałam się przejść ulicami, którymi miałam prowadzić wózek i uśmiechnąć się do wysokich krawężników. Tych, co miały robić za jedyne przeszkody na drodze matki. Chodziłam tędy z Mikołajem tylko przez pięć miesięcy. Miałam go tak blisko, że bliżej już się nie da. Pod sercem. W sobie go nosiłam i kołysałam. W wózku nie mogłam. Parę miesięcy po dniu, od którego i te wspólne spacerunki odebrano, w rodzinnym domu pojawiły się dziecięce cztery koła. Granatowa gondola w drobną szarą kratkę, a w niej śpiworek z miśkiem. Nie umiałam nawet na niego patrzeć. Obchodziłam go z daleka, o ile w ogóle wychodziłam z łóżka. Nie znosiłam jego widoku. Nie wytrzymałam płaczu Kacpra. To jego kwilenie rozrywało mi serce na drobne kawałki. Zagłuszałam go własną rozpaczą, na którą brakowało chusteczek. Nie pchałam wózka, Karolina też go omijała, więc na spacerunki z dzieckiem chodziła moja mama i chodził Maciej.

Oni budowali świat małego przez pierwsze miesiące. Z tym że Maciej sporadycznie miał tę okazję.

Ciążę przechodziłam w Warszawie. Przyjeżdżaliśmy tu dwa razy w miesiącu na weekend. Chciałam dać mamie szansę na przebywanie z wnukiem, zanim pojawi się na świecie. Zależało mi na tym, żeby mój syn od pierwszych momentów wsłuchiwał się w jej głos i w melodię morskiej piosenki. Nie sądziłam, że to będzie ich jedyny kontakt. Kiedy mój brzuch okazał się miejscem mało bezpiecznym, miałam niespełna trzydzieści lat. Nie ma chyba odpowiedniego wieku na cierpienie. Do takiej straty dorosnąć nie można. Nie umiałam się odnaleźć w stolicy i w pustym domu, który zaczynałam przygotowywać na to, że zamieszka w nim prawdziwe szczęście. Zalewała mnie czarna rozpacz, gdy patrzyłam na te płytki, które pokryły się krwią. Leżałam na podłodze w pokoju, który miały ozdobić owieczki. Patrzyłam na puste ściany, oplakując wesołe barany, które poszły na rzeź. Wypełniałam pustkę płaczem. W tym morzu cierpienia chciałam utonąć.

Nie usłyszałam, kiedy otworzyły się drzwi. Nie zauważyłam, że przyjechała do mnie mama. W zasadzie nie do mnie, nie w odwiedziny, ona przyjechała po mnie, żeby mnie zabrać i rzucić mi jedyną ratunkową łopatkę, jakie mogłam złapać. To od matki.

– Kochanie, pojedziemy do domu. Chcę zadbać o ciebie. Proszę, daj sobie pomoc – mówiła, a ja patrzyłam na nią nieobecny wzrokiem.

O ile w ogóle patrzyłam. Nie chciałam żadnej pomocy. Nie zasługiwałam na nią. Ja mojemu dziecku nie pomogłam. Nie zrobiłam nic. Nie umiałam nawet go w sobie zatrzymać przez dziewięć miesięcy. Nie umiałam wybłagać, by został przy mnie dłużej. Pozwoliłam mu odejść, więc i ja chciałam biec tam, gdzie on się znalazł. Pragnęłam go odnaleźć i wziąć w ramiona. Chciałam, żeby był ciepły i ruchliwy. Kiedy mi go pozwolili wziąć na ręce, był już chłodny

i przelewający się przez dłonie. Taki wiotki. Taki zupełnie nieobecny. Jakbym trzymała tylko małeńki futerał na ogromne serce, które już nie biło.

– Kochanie, ja nie chcę cię stracić – mówiła mama. – Nie odbieraj mi siebie. Wiesz, jak pęka serce matki, kiedy dziecko odchodzi. Nie rób mi tego... Proszę. Pozwól mu odejść. Nie zatrzymuj go. Niech śpi spokojnie.

Nie pamiętam tego momentu, gdy znalazłam się w naszym domu w Chłapowie. Nie pamiętam nic, co się działo przez pierwsze miesiące. Maciej został w Warszawie i przyjeżdżał na każdy weekend. Trzymał mnie za rękę. Kazał mi pić, jeść i wychodzić przed dom. Parę razy opatulił mnie kocem i zaniósł na taras. Tam ze mną milczał. Nie zauważałam jego nieobecności. Dni zlewały mi się w jedną plamę smutku. Nie zwracałam uwagi na godziny. Na to, czy ktoś jest obok, czy nie. Na nic w zasadzie. Potem zauważyłam rosnący brzuch, ale nie mój. Nigdy go nie dotknęłam. Płakałam. Trwałam w swoim cierpieniu i sądziłam, że już bardziej boleć nie może, aż jeszcze mocniej zakłuło. Aż przyjechał ten granatowy wózek. Aż usłyszałam płacz. Płacz trafiał do tych zakamarków, które wcześniej się przed bólem ochroniły. Wtedy było tylko gorzej.

– Ona nie może tu dłużej zostać! – krzyczał Maciej. – Ona musi wrócić do życia, do naszego domu, do pracy. Nie kažmy jej słuchać pisku noworodka. Nie mamy prawa. To jest dręczenie.

Na pożegnalne łzy mamy nie odpowiedziałam ani słowem. Było mi wszystko jedno. Pojechaliśmy do naszego domu, w którym przez pierwsze tygodnie cierpiałam podobnie, ale przynajmniej nie słyszałam już kwilenia. Potem się obudziłam z części smutku.

Wprowadziłam zmiany. Obcięłam włosy, zafarbowałam je, przerobiłam łazienkę i ten pokój dla Mikołaja. Zrobiłam tam garderobę. Remont w domu i w życiu. Do pracy wróciłam i nawet się czasem uśmiechałam. Mama mnie odwiedzała. Chodziłam z nią na kawę,

na zakupy, gotowałyśmy razem obiad. Omijałyśmy temat dzieci, aż do momentu gdy sama nie zaczęłam tego potrzebować.

– Mamuś, jak ten malutki? Rośnie? Jest zdrowy? – zapytałam kiedyś, gotując pierogi.

– Tak, kochanie – odpowiedziała, patrząc na mnie czujnie.

– Ile on już ma?

– Ponad pół roku. Czas szybko mija.

Na kolejny krok potrzebowałam więcej czasu. Oswajałam się. Parę razy weszłam na profil Karoliny na portalu społecznościowym, ale zanim mi się wyświetlił, zamykałam laptop. Unikałam widoku dzieci, aż któregoś wieczoru coś we mnie pękło.

– Kochanie – powiedziałam do Maćka – chciałabym go zobaczyć...

– Kogo? – Przytulił mnie.

– Kacpra. Tak ma na imię, prawda?

– Tak. – Zamyślił się. – Jesteś pewna?

Potwierdziłam.

– Na pewno jesteś na to gotowa? – Ujął moją twarz w swoje ciepłe dłonie.

Trwałam przy swoim, choć w zasadzie pewna nie byłam.

Wtedy pierwszy raz świadomie zobaczyłam Kacpra. Na monitorze. Maciej pokazał mi masę zdjęć. Nie wiem, ile ich było. Dzieciśiątki? Setki? Nie liczyłam, ale i tak czułam niedosyt. Chyba trzymał je na tę okazję. Na ten moment. Siedziałam i patrzyłam w ekran.

– Możesz mi zrobić herbatę? – zapytałam.

On pokiwał głową i poszedł do kuchni, zostawiając mi komputer na kolanach. Kiedy się oddalił, położyłam dłoń na monitorze. Dotykałam małych rączek, buzi, brzuszka w błękitnych śpioszkach. Wszystko było tak zimne. Zbyt zimne.

Wyłączyłam zdjęcia i weszłam w folder „Kacperek”. Zdjęcia były ułożone od pierwszych chwil życia aż do dnia, w którym Kacper

skończył pół roku. Były też filmy. Włączałam je po kolei. Kacper gaworzy, Kacper płacze, Kacper próbuje usiąść. Na paru fotografiach był też Maciej. Nawet nie wiedziałam, że bywał u rodziców. Nie uważałam tego. On nigdy mi nie powiedział. Widocznie jeździł tam wtedy, kiedy miał delegacje. Pięknie wyglądał, gdy trzymał takie małe szczęście. Całą noc spędziłam z tymi zdjęciami. Parę kolejnych zresztą też. Aż wreszcie fotografie przestały mi wystarczać i pojechaliśmy do rodziców. Nie było mnie w ich domu przez siedem miesięcy.

Oswajanie się z Kacprem nie przychodziło łatwo. Najpierw tylko na niego patrzyłam, potem dotknęłam go palcem. Raz. Żeby poczuć, czy jest ciepły. Był. Ciepły i ruchliwy, taki jak powinien być. Zostawaliśmy w Chłapowie na weekend, jak za czasów ciąży. Jednej nocy Kacper bardzo płakał. Wydawało mi się, że nie przestaje i że nikt go nie słyszy. Weszłam do pokoju Karoliny. Ona spała z poduszką przyciśniętą do głowy. Zapaliłam małą lampkę, a ona schowała głowę pod kołdrę. Kacper wciąż płakał. Podeszłam do łóżeczka. Wzięłam chłopca na ręce. Odruchowo.

– Spokojnie, kochanie, jestem tutaj – szeptałam. – Już nie musisz płakać. Już wszystko dobrze.

Uspokoił się. Wyciszył i patrzył mi w oczy z taką ufnością! Stałam, tuląc go w ramionach. Kołysałam go. Całą noc. Caluteńką. Pokochałam go. Nie chciałam go wypuścić.

Od tamtej nocy przyjeżdżaliśmy do rodziców w każdy piątek wieczorem. Jechaliśmy do domu w niedzielę, ale i te wizyty przestały mi wystarczać. Wtedy postanowiłam, że weźmiemy ich – Karolinę i Kacpra – do siebie. Maciej nie chciał się zgodzić. Mówił, że nie będzie mieszkał z moją rodziną. Chce być tylko ze mną i żyć we dwoje. Strasznie się o to kłóciliśmy.

– Chcesz? To wynajmijmy jej mieszkanie – powiedział któregoś dnia. – Niech będzie w Warszawie, ale nie z nami. Obok nas.

Karolinę ciągnęło do stolicy, więc pomysł jej się bardzo spodobał. Rodzicom też. Nie wiem, czy chcieli od niej odpocząć, czy widzieli, jak dobrze robi mi kontakt z Kacprem.

– Nic nie będziecie wynajmować – odezwał się tata któregoś wieczoru. – Mamy oszczędności. Kupimy jej mieszkanie. Niewielkie, ale...

Nie było już żadnego „ale”. Rodzice kupili mieszkanie, a my je wyremontowaliśmy. Dwa pokoje i kuchnia. Jasna kuchnia, choć Karolinie i tak było wszystko jedno, bo przecież ona nie gotowała. Nikt jej go nie pokazywał. Zdecydowaliśmy w czwórkę. Mama, tata, Maciej i ja. Reszta to była tylko moja bajka. Jeździłam po marketach, szukałam farb, tapet, dywanów, mebli. Wydaliśmy dużo, ale za tę kwotę wykupiliśmy sobie dostęp do życia Kacpra. Kupiliśmy sobie dziecko. W zasadzie nie małą istotkę, a możliwość wypożyczania jej co parę dni na kilka chwil, na noc, na weekend. Wreszcie mogłam złożyć łóżeczko, kupić butelkę, koniecznie z Aventu, potem niekappek i talerzyk z żółwiem. Mogłam namalować takie owieczki, które będą żyć ze swoim pastuszkim. To ja go woziłam w samochodzie, ja pamiętałam o lekarzu i o szczepieniach, ja wprowadzałam nowe „dorosłe” składniki do diety malca i uczyłam go wszystkiego po kolei. Ostatecznie to do mnie powiedział „mama”. Jego pierwsze słowo sprawiło, że wypełniło mnie szczęście wymieszane z panicznym strachem, że kiedyś pojawi się jego ojciec i mi go zabierze.

– Karolina, kto jest jego tatą? – pytałam.

– On nie ma taty.

– Daj spokój. Dobrze wiesz, o co mi chodzi.

– Kto jest dawcą? – Przyglądała mi się.

– Tak, właśnie o to, z kim masz Kacperka.

– Z mężczyzną – odpowiadała z uśmiechem.

– Wiem przecież, że nie z kobietą.

– To po chuj się pytasz.

– Bo się boję. Nie rozumiesz? Boję się, że się pojawi i mi go odbierze.

– Nikt ci go nie odbierze, bo do ciebie nie należy. – Patrzyła na mnie z wyższością. – To jest mój syn.

Był jej. Na papierze. To ona go urodziła. W rubryce „ojciec” wstawiono NN. Nazwisko dała mu swoje, czyli i moje panięskie. Prawnie był jej. Do mnie należał w każdy inny sposób. Kochałam go jak swoje dziecko i dziękowałam Bogu za to, że Maciej czuł podobnie. Oszalał na jego punkcie. Dbał o niego, mówił mu, że go kocha, a ja byłam taka dumna. Taka szczęśliwa.

– Słuchaj, mało który facet zdecydowałby się na to, żeby tak się opiekować cudzym dzieckiem – mówiła Żaneta, moja najbliższa koleżanka. Nie przyjaciółka, ale i nie zwykła znajoma. Wiedziała o mnie dużo.

– Żanet, daj spokój.

– No nie daj spokój, tylko taka jest prawda. Pamiętasz? Mówiłaś, że nie chce adopcji, że nie umiałby pokochać, a teraz lata za tym małym jak przykładowy tatuś.

– Bo mu tego wszystkiego brakuje.

– Żeby mu za bardzo czegoś nie zabrakło – zasugerowała.

Analizowałam potem te słowa. Łączyłam i byłam taka dumna i taka wdzięczna. I o tej wdzięczności Maćkowi mówiłam, i dziękowałam mu na różne sposoby. A on obrastał w te piórka i wysoko unosił głowę. Czuł się doceniony. Dobry. Lepszy niż niektórzy.

Z Kacprem jeździliśmy do rodziców dość często. Karolina zostawała w Warszawie i pozwalała mężczyznom na zwiedzanie zakamarków jej ciała. Chcąc niechcąc, stwarzałam jej do tego warunki. Kiedy byliśmy w Chłapowie, chodziliśmy nad morze, na lody i na spacer. Zwiedzaliśmy świat, uczyliśmy się go. Zabierałam go też do Mikołaja. Czasem szliśmy sami, czasem z mamą albo z Maciejem. Z tatą rzadziej, bo widok grobu wnuka bolał go za bardzo. Niekiedy tam na cmentarzu milczeliśmy, a innym razem rozmawialiśmy.

– Tam śpi Mikołaj, mój synek – powiedziałam kiedyś do Kacperka, pokazując mu mały biały nagrobek.

– Mikołaj? – zapytał.

– Twój brat – odpowiedział Maciej. – Braciszek.

– Braciszek? – Malec rozłożył ręczki. – Mój braciszek?

– Cioteczny – odpowiedziałam.

– Co to znaczy że cioteczny?

– Kuzyn, kochanie. Dzieci rodzeństwa to kuzyni.

– Nie rozumiem – powiedział z powagą.

– Mikołaj jest moim synkiem, a ciebie urodziła moja siostra, więc ty i on jesteście kuzynami. Rozumiesz?

– Nie wiem – odparł szczerze.

Na cmentarz chodziliśmy tymi uliczkami, którymi miałam prowadzić wózek z Mikołajem. Tymi drogami, którymi mój synek miał dreptać koło mnie. Tę samą ścieżką, którą teraz szłam sama. Jak co roku. Jak od pięciu lat.

Im bardziej oddalałam się od rodzinnego domu, tym mocniej czułam ciężar święta, w które każdy przypominał sobie o zmarłych. Ja pamiętałam cały czas, nie tylko z początkiem listopada. Świętowałam z moim synem jego przedwczesne urodziny i dzień, w którym planowo miał się urodzić oraz ten moment, kiedy dowiedziałam się o jego istnieniu. Wszystkie kalendarzowe święta i te państwowe również. Zanosłam mu koszyczek na Wielkanoc i gałązkę na Wigilię. Na Mikołaja też byłam przy nim. I w Dzień Dziecka również. Nawet w Dzień Matki przyjeżdżałam, żeby pozwolić mu złożyć sobie nieme życzenia. Siadałam przy nim na ławeczce i śpiewałam równie ciche kołysanki. Opowiadałam mu o wszystkim. Byłam. I dostawałam płomyczek nadziei, że i on jest przy mnie.

We Wszystkich Świętych odwiedzałam go kilka razy. Rano zawsze sama przychodziłam, żeby pozwolić sobie na odrobinę samotności, w której tak bardzo chciałam usłyszeć Mikołaja. I zawsze to

wyglądało podobnie. Na Jachtowej już się pojawiały stoiska z kwiatami i zniczami. Im bliżej cmentarza, tym większe dywany się ścieliły przede mną. Piękno, które w doniczce ustawiało się na grobie, niszczyła uliczna rewia mody. Każdego roku bolało mnie to tak samo. Kłuło w oczy. Przychodziły tu kobiety w szpileczkach i krótkich spódniczkach, i kręcąc tyłkiem między grobami, łowiły spojrzienia mężczyzn, którzy zamiast popatrzeć na miejsce spoczynku bliskich, chętnie podążali wzrokiem za kusicielkami. Niejedne białe kozaczki za kolana lustrowały mnie wzrokiem. Patrzyły z góry. Nie umiałam się pogodzić z tym, że depczą ścieżkę koło łóżeczka mojego synka. Chciałam je stąd wyrzucić i przeprosić moje dziecko, że ktoś taki zakłócił mu spokój. Ja nie zakładałam szpilek i obcisłych sukienek. Wkładałam takie ciuchy, w jakich chciałam świętować z moim synem ważne chwile. Owijałam się szalem, jakbym tego dnia miała iść z nim na spacer. I dziś też miałam na sobie ciepły szal.

W połowie Parkowej kupowałam kwiaty. Zawsze u tej samej kobiety, która miała życzliwe oczy i spracowane dłonie. Dotykała mnie nimi, podając mi doniczkę. Czasem ścisnęła moje skostniałe palce i posyłała lekki uśmiech.

– Dzień dobry, pani Krysiu.

– Dzień dobry. Jak się pani ma?

– Dobrze – skłamałam. – Całkiem nieźle. A u pani wszystko w porządku?

– Na tym świecie nigdy nie jest w porządku. Mam nadzieję, że po drugiej stronie będzie lepiej.

– Na pewno – powiedziałam. – W końcu tyle tam aniołów!

– To prawa. – Zamyślona pokiwała głową. – Prawda. Jak zawsze wrzosa?

– Tak. Poproszę.

– Mam tu dla pani odłożoną najpiękniejszą roślinkę. Później syn przywiezie więcej, to na wieczór przygotuję tyle, co zwykle.

– Dziękuję bardzo. Przyjdziemy pewnie około osiemnastej. Teraz muszę pobyć sama z dzieckiem.

– Rozumiem. Dobrze to rozumiem. Kiedyś może pani opowiem, pani Lauro.– Musnęła mnie dłonią.

Weszłam za ciemną bramę, która oddzielała dwa różne światy. Przekroczyłam pierwsze progi tęsknoty. Kątem oka spojrzałam na świeże groby, których przybyło od ostatniej wizyty, kiedy byłam tu pod koniec września. Świeże daty, dzisiejsze kwiaty i ślady. Miliony odcisków ludzkiej tęsknoty na ścieżce, którą szłam, by zgubić swoje smutki.

Mały biały grób czekał na mnie tam, gdzie zawsze, pod płaczącą wierzbą i modrzewiem.

– Cześć, synku – powiedziałam, dotykając dłonią jasnego marmuru. Był tak strasznie lodowaty. To zimno przeszywało mnie na wylot, zgarniało część ciepła, które miałam tu wylać. Nie chciałam takiego grobu dla mojego syna. Pragnęłam, żeby rosły tu kwiaty, jałowce, iglaki płożące, wrzosy i może lawenda. Miało być żywo. Miało być coś, co można podlewać miłością. Tymczasem mam zimny kawałek skały przypominający mi o tym, że i pod spodem życia brakuje, że ziemia nie oddycha, a mnie tylko dusi. – Tęskniłam za tobą, kochanie. Odliczałam już dni do naszego spotkania. Przyniosłam ci misia, wiesz? Pewnie, że wiesz. Położę go tutaj, przy twojej główce. – Umieściłam na płycie niewielkiego pluszaka trzymającego w łapkach serce. Zapaliłam świeczki. Nienawidziłam słowa „znicz”. Było takie jednoznaczne. W nóżkach ułożyłam donicę. Niech mu kwitnie. – Wieczorem przyjdziemy z tatą. Babcia też będzie, ale ona chyba często cię odwiedza. Często, prawda? Zawsze wiedziałam, że będziesz jej oczkiem w głowie. Mikuś, skarbie, powiedz mi, jak ci tam jest. Kochanie, daj mi jakiś znak. Nie cierpisz, prawda? Na pewno nie. Ma się tam kto tobą opiekować. Pewnie chodzisz z moim dzieciem na kremówki. I na ryby cię zabiera. Gdzieś tam w chmurach

trzyma twoją rączkę. Och, jak ja mu zazdroścę. Kochanie... – opowiadałam mu o wszystkim, trzymając dłoń w połowie zimnej płyty. Głaskałam ją. Nie patrzyłam na tabliczkę. Na ten dobitny dźwięk rozstania.

Mikołaj Wilk

– jeden dzień na tym smutnym świecie –

Pełno nas, a jakoby nikogo nie było.

Jedną maluczką duszyczką tak wiele ubyło

Tę tabliczkę i cały projekt nagrobka wybierał Maciej i jego mama. Tak, bo groby też się projektuje. Przegląda się katalogi i nagle mówi się „ten”, jakby to miało znaczenie. Jakby się wybierało mebel, ozdobę domu. Musiał być drogi. Najdroższy. Tak zadecydowała Doro, mama Maćka. Nie, wcale nie po to, żeby wnukowi pokazać, że jest, a może był bezcenny. Nie po to, żeby podkreślić wagę tęsknoty i cenę życia. Grób miał być wyznacznikiem stanu konta. Miał mówić, że stać nas na pomnik z najwyższej półki. Szkoda tylko, że kupić się nie da choćby jednego dnia życia. Szkoda, że swoim zapłacić nie można. Wybrali. Zakleпали. Nie pytali mnie o zdanie. Zresztą i tak nie miałam siły się buntować. Tylko raz zapytali, jak ja widzę ten wieczny kącik mojego maleństwa.

– Laura, co ma być napisane na tabliczce?

– Na tabliczce?

– No, na grobie – odpowiedziała teściowa.

– Odnajdę cię, mój aniołku, gdziekolwiek będziesz. Nie każ mi za długo czekać w tym piekle, w którym mnie zostawiłeś – powiedziałam, łykając kolejną tabletkę.

– Chyba żartujesz – obruszyła się. – Maciek, pisz tak... – Zarzuciła Kochanowskim, a ja zamilkłam, bo prawdziwe słowa wyryłam sobie w sercu.

Odejść od niego jest ciężko. Zawsze kiedy się z nim żegnam, choćby na kilka godzin, i obiecuję, że wrócę niebawem, czuję się, jakbym go porzucała. Każde poruszenie się gałązki, podmuch wiatru albo zadrżenie płomyczka odbieram jako prośbę, żebym została. Żebym mu jeszcze opowiedziała o wszystkim tym, co robilibyśmy, gdyby nas ziemia nie dzieliła.

– Kochanie, wróć – szeptałam i głaskałam go przez zimny marmur. – Wróć...

Odchodząc, odwracałam się kilka razy. Patrzyłam za siebie, jakbym chciała zobaczyć, że siedzi na pomniku i mi macha. Że się chowa za drzewem i mówi: „Szukaj mnie!”. Gdybym tylko mogła... Kiedyś zresztą na pewno go znajdę.

Przejście za bramę, wkroczenie do przyziemnego świata bolało. Chwytało za serce i ścisnęło tak mocno, że chciałoby się je wyrwać i zakopać w tym zamkniętym grobie, od którego się wraca. Zawsze tutaj ocierałam łzy. Zawsze tu traciłam matczyną siłę i sama stawałam się dzieckiem, które potrzebuje przytulenia i dłoni rodzica.

– Tato? – powiedziałam do słuchawki. – Mógłbyś...

– Już jadę. Wyjdź na Jachtową – odpowiedział.

Nie musiałam mówić nic więcej. Nie musiałam o nic prosić. Wiedział, że musi mnie stąd odebrać. Zabrać mnie. Zawieźć do domu.

U mamy pachniało pierogami i roztopionym masłem. Kochałam ten zapach. Odnajdywałam w nim skuteczną dawkę lekarstwa na smutek. Lepiłyśmy je razem, żeby coś uczcić i żeby się pocieszyć. Na wszystko były dobre. Pamiętam, że gdy wracałam ze szkoły zmęczona, znudzona, wściekła, zamykałam drzwi i otulałam się tym zapachem, a wszystkie żale zniknęły. Siadałyśmy przy wielkim stole i jadłyśmy pikantny farsz w cieniutkim cieście płynącym w maśle. To był smak wolności od problemów. Nasz bilet

do lepszego świata, w którym przynajmniej jedzenie było dobre. Dziś też się to przyda.

– Ciociu, gdzie byłaś? – Kacper przytulił się do moich nóg. – Tęskniliśmy za tobą wszyscy.

– Naprawdę? – Przytuliłam go. – A kto najbardziej?

– Ja! – krzyknął. – No i pierogi są.

– Jadłeś już?

– Nie. Czekaliśmy na ciebie. No dobra, jednego zjadłem, ale nie z talerza, więc się nie liczy.

– Ja też tak sobie zawsze powtarzam, że jak z ręki, to się nie liczy. Szczególnie gdy jem ciasto – wyszeptałam mu do ucha. – Idę umyć ręce.

Stałam i patrzyłam w lustro na swoją pokiereszowaną życiem twarz, trzymając dłonie pod gorącą wodą. Ktoś zapukał do drzwi.

– Proszę – rzuciłam.

– Mogę? – zapytała mama cicho. – Wszystko dobrze? – Pogłaskała mnie po twarzy.

– Ktoś mi dziś powiedział, że na tym świecie dobrze być nie może. – Przytuliłam się.

– Karolina dzwoniła?

– Nie. I nie odbiera.

– Tradycyjnie.

Świat się od smutku nie kurczy. Na cierpienie zawsze znajdzie się miejsce pod ludzkim dachem, gdzie powinno pachnieć radością. W czterech ścianach najczęściej zapada ciemność, którą rozświetlić mogą tylko niewinne promyczki. Czasem to złudzenie, zwykła iluzja. Śmiech dziecka daje płomyk nadziei. Grę światła napędza. I gdy tak rozświetli ludzkie ciemności, to jakoś łatwiej jest zauważyć nieśmiałe szczęście, które siedzi w bujanym fotelu, ogląda film i lepi pierogi.

Trochę mi w głowie pojaśniało. Otuliło mnie przyjemne ciepło ramion męża. Siedziałam mu na kolanach, wciśnięta w niego tak mocno, żeby czuć przez skórę bijące dla mnie serce. Miało nie być

dobrze na tym świecie, a mi wtedy źle nie było. Miłość może dodać skrzydeł, nawet gdy świat wyrywa pióra i zakrwawione chowa pod ziemią. Może lizać rany, łaskocząc przy tym tak, że o uśmiech nie-trudno. Może się też w udawanie zabawić. Nie ma w tym nic złego, gdy się śmieje ze sobą, a nie z siebie nawzajem. Przez zabawy najwięcej nauczyć się można. Najłatwiej się zapamiętuje. Ma się naukę na przyszłość, o ile bawiąc się, nie straci się na nią szansy. Szczególnie jeśli kończą się one łzami, siniakiem i rozciętą wargą, gdy cichnie śmiech i w głowie słychać ostrzeżenie, którego się nie posłuchało. Życiowe gierki zagłuszają głos rozsądku. Wspinaczka na najwyższe drzewo cieszy najbardziej, ale upadek z niego jest cholernie bolesny i groźny. Nie zawsze jest ktoś, kto podbiegnie i podmucha rozcięciem. Zwykle to matka czuwa w pobliżu. Ostrzega, a potem łyzy ociera. Podobno najczęściej wypadków ma miejsce we własnym domu, bo prywatne cztery ściany usypiają czujność i dają złudne poczucie bezpieczeństwa. Ponad siedemdziesiąt procent tragedii rozgrywa się pod własnym dachem. A gdyby tak uwzględnić złamane serca, poranione dusze i rozdartą psychikę, to jakie statystyki wyjdą? Może do domu Bóg nie zagląda? Może to źle, że w szufladach mamy noże, niedobrze, że śpiąc w jednym łóżku, odwracamy się plecami? Może nie warto się śmiać, bo za każdy uśmiech kiedyś zapłacimy łzami?

– A co to jest, cwaniaki? – zapytał Kacper, wijąc się na dywanie.

Graliśmy w kalambury w beżowym salonie rodziców.

– No, zgadujcie.

– Za dobry jesteś. Daj jakąś podpowiedź dziadkowi – odezwał się mój ojciec.

– No, dziadziu, patrz uważnie.

– Nie mam pojęcia. – Tata rozłożył ręce.

Siedziałam w rodzinnym salonie. Już ubrana – w butach i w płaszczu, nawet tym samym szalem co rano owinięta. Czekałam. Każda

cząsteczka ciała rwała się do mojego maleństwa. Zawsze wiedziałam, że będę jedną z tych matek, które nawet śpiąc, nasłuchują, czy dziecko oddycha, czy się nie wierci, czy nie kwili tak, jakby coś mu przeszkadzało. Wiedziałam, że będę na każde zawołanie. Warowała-bym przy łóżeczku, sprawdzając co chwilę, czy nic mojemu dziecku nie grozi. Pewnie byłabym taką matką, która idąc do ubikacji, ma wyrzuty sumienia, że nie jest przy maleństwie, że je samo w łóżeczku zostawia. Śpiące. A jeśli się przebudzi? A jeśli się przestraszy? Pewnie sikałabym przy otwartych drzwiach i starałabym się robić to szybko, by móc wrócić na posterunek i na tyle cicho, by usłyszeć każdy szmer. Łóżeczko miało stać w sypialni przez pierwsze miesiące. Pewnie byłyby puste, bo przecież duże łóżko mieliśmy...

Pewnie byłabym z tych, co na pytanie: „Co u ciebie?” mówią o tej osobistej części siebie, którą urodziły. O dziecku. O kupkach, zupkach i grzechotkach. Pewnie taka bym była. Przy Kacprze przeżywałam wszystko. Pierwszy kroczonek, ząbek, pierwszą dorosłą zupkę. Byłam przy nim, gdy szedł do przedszkola i z całych sił próbowałam się wcisnąć na jego przedstawienie na dwudziestego szóstego maja organizowane tydzień wcześniej. Marzyłam o tym, żeby siedzieć w pierwszym rzędzie i klaskać tak głośno, jakbym chciała powiedzieć, że to mój syn. „Prawie” chciałabym przemilczeć.

– Może pójde z tobą, Karola? – proponowałam tydzień przed przedstawieniem i w każdy następny dzień, aż do tej przedszkolnej imprezy.

– Nie ma takiej potrzeby – odpowiadała. – Chcesz szopkę odegrać? To Kacper tego dnia będzie aktorem. A jeśli bardzo chcesz po-udawać, to wypożycz mi Maćka. Niech zagra mojego męża. Będzie przykładowa rodzina, tak jak chciałaś.

Klaskała Karolina, a ja płakałam. Sama.

Kiedy Kacperek był chory, siedziałam przy nim. Nie spałam. Kupiłam małą lampkę, która miała mi dawać na tyle wyraźne światło,

żebym nie zasnęła, ale i na tyle spokojne, żeby jemu nie przeszkadzać. Odciągałam mu katar, mierzyłam temperaturę, wymieniałam pościel, na którą zwymiotował. W pracy brałam wolne, które mi nie przysługiwało. Karolina wtedy spała jak dziecko, któremu nic nie dolega. Nie jest łatwo być matką, ale jeszcze trudniej być prawie mamą. Mieć dwóch prawie synów. Jednego pod ziemią, a drugiego w domu siostry. Dwoje dzieci, w tym jedno, które opuściło mnie na zawsze, a drugie zostawia mnie samą niemal na każdą noc.

Trudy udawanego macierzyństwa wynagradzały mi piękne chwile, które kolekcjonowałam i oprawiałam w ramki. Zapychałam nimi osobiste albumy i dekorowałam ściany. Właśnie pod jedną z nich siedziałam i uśmiechałam się do fotografii. W rodzinnym domu ta galeria emocji tworzyła prawdziwą historię. Ślubne zdjęcie rodziców rozpoczynało podróż po udanych wspomnieniach. Po białej sukni była różowa z wielkim brzuchem pod spodem i czapeczką z napisem „Laurka”. Dalej beżowa, równie brzuchata, ale bardziej wydekoltowana, z kaftanikiem z imieniem Karoliny. Potem urodziny. Pierwsze, drugie, piętnaste. Tort mój i prezenty siostry. Trochę świąt, choinek, koszyczków i odrobina wakacji. Komunia. Bo to, jak układamy rączki do paciorka, trzeba było uwiecznić. Psy, od pierwszego do obecnego stanu stada. No i kawałek naszej dorosłości. Jedno zdjęcie rodziców cudem złapane, bo zwykle szybciej się od siebie odsuwają, niż migawka zadziała. I trochę nas. Mnie i Karoliny. Tu się nasze drzewo rozgałęzić miało. Znów miała być biała suknia i ideał u boku – taki, którego zabić szkoda, ale i żyć mu dać nie bardzo wypada. Po ślubnej garderobie miała wejść ciężowa, mocno opinająca sterczący z dumy brzuch. A potem dalej, kolejne gałęzi... chrzest, roczek, błękitne śpioszki, jasełka w przedszkolu i pasowanie na ucznia. Tak drzewo się miało rozrastać, bo mocno jest zakorzenione i grunt dobry, by nowe, piękne liście wypuścić. Życiowe burze jednak nawet takich drzew nie oszczędzają. Łamią gałęzie

i zmrażają owoce. Korniki swoje robią, chodząc do tyłu jak rak, którego wyleczyć się nie da. Moja część drzewa miała suknię tak piękną, że zajęła całą ramkę i na męża miejsca nie wystarczyło.

– Mamo, dlaczego takie zdjęcie akurat? – zapytałam, gdy oprawiała moją ślubną fotografię, na której udaję, że się wieszam na krawacie.

– Żebym pamiętała, żeby ślubnego krótko trzymać – odpowiedziała z uśmiechem.

– To dlaczego swojego pomijasz?

– A co on mi złego zrobił, żeby go wieszając miała? Niech sobie żyje spokojnie.

Maciej więc przez lata na ścianę sławy nie zasłużył. Maczałam palce w tym, żeby to zmienić i wyryć na tym rodzinnym drzewie jego inicjały. Oprawiałam nasze wspólne zdjęcia ze świąt i z wakacji. Przynosiłam mamie, a ona odkładała je na potem, bo gwoździa w ścianie nie miała. Później te ramki wisiały, ale otulały zdjęcia Karoliny, więc to nie moja gałąź się rozrastała.

– Mamuś, gdzie jest ta fotografia, na której mnie Maciej niesie na barana? – zapytałam.

– Nie wiem, kochanie. Wisiała na ścianie. Nie ma jej? Spadła?

– Sama nie spadła. Ktoś jej chyba pomógł – powiedziałam, wskazując zdjęcie siostry w ramce, którą przezornie z tyłu podpisałam.

Po mojej stronie został tylko samotny gwóźdź. Nawet mamy przy sobie nie miałam. Ona stanęła obok Karoliny, wzdychając i machając ręką. A zdjęcie zniknęło, podobnie jak to z ferii, z urlopu na Majorce i z urokliwej restauracji, w której świętowaliśmy trzecią rocznicę ślubu. Wszystkie wspólne zdjęcia ktoś zrzucił, zostawiając gołe gałęzie. Po odsłonięciu w roli panny młodej dołączyłam do galerii jako brzuchata szczęściara. Pierwszy miesiąc, drugi, trzeci, czwarty i piąty. Każdy zawisał po mojej części historii. Zmieniał się brzuch, biust zaczął się rozpychać, tylko uśmiech zostawał nietknięty. A między

rewią mody ciężowej zawisły obrazy z USG. Każde oprawione, nieraz głaskane. I psów trochę przybyło. Taka byłam płodna, że łąp mamie dostarczałam, a zdjęcia wnuka dać nie mogłam. Gładziłam więc palcem jamę brzucha opatrzoną datą i moim nazwiskiem.

Karoliny część była mocno narcystyczna. Jej twarz śmiała się z każdej ramki, zwykle podprowadzonej. Zamiast białej sukni była przykrótka mini, którą sprzedawali jako sukienkę na dziale dla dzieci albo tunikę, do której zakłada się spodnie. Zamiast dyplomu ukończenia studiów pojawiała się w jej ręce butelka, zdecydowanie nie dziecięca. Kacper łączył nasze gałązki jak najpiękniejsza liana. Kacper w beciku, w wózku, na huśtawce, w dmuchanym basenie. Urodziny pierwsze, drugie, trzecie, czwarte... i już wbite gwoździe na zapas. Trochę mnie bolało, że gałązka Mikołaja nie może puścić nowych listków i nigdy nie zakwitnie. Musiałabym zrobić zdjęcie nagrobka.

A on przecież nie zmieniał się wcale. Stał od pięciu lat. Równie mały, tak samo biały i zimny. Samotny, choć nawet nie mogę powiedzieć, że stęskniony.

– Idziemy? – zapytał Maciej, całując mnie w czoło.

– Idziemy – odpowiedziałam, łapiąc go za rękę. – Mamuś! Kacper! Możemy już wyjść?

– Tak, tak. Czapka, Kacperku...

– I rączka – powiedział, wciskając małą dłoń pomiędzy moje palce. – Będę mógł zapalić świeczkę?

– Oczywiście, kochanie. – Poprawiłam mu czapkę i mocniej zawiązałam szalik.

Snuliśmy się we czworo senną, ciemną ulicą w stronę listopadowej obsesji. W stronę rozstawionych wszędzie aut i ludzi niosących znicze. Mama szła obok mnie powolnym krokiem. Jedna dłoń Kacpra wplatała się w moją dłoń, druga chowała się w męskim uścisku Macieja.

– Zrobimy samolot? – zapytał. – Proooszę. – Podskoczył i podniósł do góry małe ruchliwe nóżki.

– Wiesz, kochanie, że takie zabawy są niebezpieczne dla małego ciałka? – zapytałam.

– Oj, ciociu. Mama mówi, że na coś umrzeć trzeba.

– Powiedz mamie, że złego diabli nie biorą, więc o siebie może być spokojna. – Uśmiechnęłam się do niego, ściskając mu łapkę.

Przyszliśmy z wizytą do świata aniołów. Przynieśliśmy tęsknotę, miłość i odrobinę ciepła z płomyczka nadziei, że kiedyś się spotkamy na dłużej, że jeszcze wpadniemy sobie w ramiona.

* * *

Wtedy jeszcze sądziłam, że te słowa oznaczają walkę z chorobą. Może i nierówną. Może i taką, która przyniesie setki ofiar z zarwanych nocy, szukania ratunku, wydanych pieniędzy, ale walkę. Tymczasem moja siostra już tamtego dnia miała w głowie plan, o którym mówiła mi dużo wcześniej, ale ja byłam chyba głucha na jej – jak mi się wydawało – puste słowa dotyczące spraw, o których nie ma zielonego pojęcia. „Gdyby to dotyczyło ciebie albo kogoś, kogo kochasz” – powiedziałam parę tygodni wcześniej. Kiedy człowiek patrzy na swoich bliskich, ani przez moment nie widzi ich przez pryzmat choroby. Myśl o śmierci się oddala. Odrzuca. Przymyka się na nią oczy, a ona właśnie na to czeka.

Zapominanie o tym, że ktoś, kogo kochamy, może zachorować lub umrzeć przed nami, leży chyba w odruchach warunkowych, samozachowawczych. To płaszcz obłudy i naiwności, który ma nas

okryć, chroniąc przed łzami i chłodem. A kiedy ktoś go zerwie, czujemy się nadzy i bezradni. Kompletnie nieprzygotowani. I już nie deszcz, a ulewa nas dopada. I nie jest chłodno, a strasznie zimno – jak w kostnicy. Jak w trumnie. Jak w ziemi. I czasem jeszcze można to bezpieczne ubranie wyszarpnąć. Okryć się szczelnie, łapczywie chwytając się skrawka nadziei. Wszystkie niszczą po czasie, tym bardziej jeśli chronią przed wicherą, która tuż nad nami burzy szczęśliwą rodzinę.

– Karolina, ty nie możesz być chora. Nie możesz. Nie pozwalam!

Chorobie zakazać nie można, choć próbować trzeba. Ze śmiercią rzadko się wygrywa dyskusję. To ona ma asa w rękawie i krwawe argumenty, na które nigdy nie jest się gotowym. A Bóg? On i tak swoje zrobi, jeśli w ogóle jest. Bo gdyby był, chyba nie chciałby, żeby jego dzieci cierpiały, żeby się bały, że za minutę rodzina straci członka, a ziemia zyska kolejny ludzki futerał pozbawiony tchnienia.

– Nie możesz być chora! – powtarzała mama, licząc, że zakaz matki może wstrzymać proces, który już się rozpoczął.

Karolina zawsze robiła na przekór. Zawsze lekceważyła zakazy. Ten też złamała.